№ 47. Warszawa, dnia 21 (9) Listopada 1896 roku. Rok XXXVIII.



Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Z przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2 Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Za jeden wiersz petitem kop. 12.

Gamaston.

WIARA...

FRAGMENT Z ŻYCIA.

(Ciąg dalszy).

De Brehat zupełnie przyszedł do siebie i znów zaczęliśmy ranne spacery, ale niezbyt dalekie. Andreas a nawet Babtysta, byli zawsze w pobliżu i pilnowali nas.

Stary nadzwyczaj mię polubił, ja przywiązałem się do niego. Roztrząsaliśmy wiele kwestyj, wpadliśmy także na temat kobiet i miłości. De Brehat w tym względzie okazał się sceptykiem, wierzył w miłość kobiety jako matki, córki lub siostry, i nazywał to prawdziwem uczuciem, miłość obcej kobiety nazywał zabawką, chwilową rozrywką, namiętnością i t. p. Córkę swoją kochał nad życie, uskarżał się tylko:

— Nie chce iść zamąż, stworzyć sobie ogniska domowego i wypełnić przeznaczenia kobiety, namawiam, proszę, nic nie pomaga... a jednak gdyby mię opuściła... coby się ze mną stało?...

Raz w łodzi nagle zadał mi pytanie.

— Zapewne pana dziwi moje zachowanie się? ludzie nawet nazywają mię waryatem. Dziś wiem, żeś pan był świadkiem ataku, jaki miałem podczas burzy, powiedz pan szczerze co myślisz?

— Ja? — odrzekłem, — żeś pan skutkiem jakiegoś fatalnego przejścia został silnie zdenerwowany, ale że obecnie czas ukoił nerwy.

— Ukoił nerwy — powtórzył szepcąc, — czas? Wiesz pan nie umiem wytłómaczyć dlaczego, ale czuję potrzebę opowiedzenia ci epizodu z mojego życia, który doprowadził mię do obecnego stanu, tym sposobem rozproszę podejrzenia, które zapewne w panu powstały.

Nazajutrz po obiedzie siedliśmy na balkonie tarasu u de Brehat. Babtysta ustawił na stoliku syfony, owoce i biszkopty. Był śliczny, ciepły i pogodny wieczór; księżyc jasno świecił, woda Adryatyku lekko drgając odzwierciadlała biały krąg księżyca, zbliżający się do pełni, a piosnka z młodej piersi jakiegoś domorosłego tenora, używającego przejażdżki łodzią, dolatywała do nas.

— Cudny wieczór? — rzekła Janina.

— Weź Babtystę i przejdź się, a ja mam z panem pomówić — odezwał się de Brehat.

Janina wyszła z Babtystą, a stary wypiwszy lampkę wina tak mówić zaczął:

— Dziwnie cichy i spokojny wieczór, doskonale mię usposabia, czuję się tak dobrze i jestem tak spokojny, że postanowiłem dziś opowiedzieć panu ów fatalny epizod.

Przetarł ręką czoło, spojrzał na mnie i zaczął:

— Opowiadanie muszę poprzedzić małym wstępem, urodziłem się w naszym rodowym majątku Brehat, w departamencie Cite de Nord, położonym w prześlicznej okolicy, nad zatoką St. Brieux. Właśnie tam ocean Atlantycki zlewa się z wodami La Manche, a rezydencya nasza położona w ten sposób, że ogród ciągnie się do morza, na końcu jest mały, skalisty cypel wchodzący w morze i nazwany „langue de chat." Język ten z lewej strony stromo spada w morze, na końcu ma kamienną ławkę, przed nią mały taras a za nią latarnię. Z prawej strony skała płasko i łagodnie zbiega do wody, tam wyciosane schody prowadzą do zatoczki, gdzie zawsze kołysały się nasz yacht i kilka łodzi.

Od dzieciństwa kochałem morze i wiele czasu przepędzałem na niem, nawet chciałem zostać marynarzem, ale ojciec przeznaczył mi zawód wojskowy. Miałem starszego brata i o wiele młodszą siostrę. Ukończyłem szkołę wojskową w St. Cyr, później ożeniłem się z daleką kuzynką, żyliśmy razem bardzo niedługo, rok tylko, żona dając życie Janinie, swoje oddała. Po jej śmierci udałem się do Afryki, zostawiając opiekę nad Janiną moim rodzicom. Dziwiono się wielce. Młody, jak utrzymywano piękny, bardzo bogaty, rzucił Paryż i jego rozkosze!

Wkrótce po moim wyjeździe umarł ojciec, w dwa lata siostra wyszła zamąż i zamieszkali niedaleko od nas. Brat pojechał do ambasady do Szwecyi.

W Afryce oprócz pełnienia służby wojskowej, zawzięcie polowałem na lwy i pantery i malowałem pejzaże afrykańskie i sceny z polowań, które posyłałem do Paryża, Nie przypuszczałem, że mój dyletantyzm w malarstwie wkrótce zdobędzie mi rozgłos i imię, zacięty myśliwiec na lwy i mistrz w malowaniu afrykańskich pejzaży, dziwna kombinacya? Nieprawdaż?

Tak przeszło prawie cztery lata, gdy raniony w lewe ramię długo chorowałem, a w końcu przyplątała się jeszcze i żółtaczka. Doktorzy zalecali mi wyjechać z tropikalnego klimatu. Minister wojny był osobistym przyjacielem ojca, dostałem czteromiesięczny urlop i przyjechałem do Paryża, ale po tygodniu już mię lekarze formalnie wypędzili i w Grudniu 1868 roku byłem w Nicei, gdzie pijąc Vichy i spacerując pod łagodnem słońcem przychodziłem do zdrowia; rękę nosiłem jeszcze na przepasce. Tu jest początek właściwego mego opowiadania.

De Brehat milczał przez chwilę, napił się trochę wody z syfona i dalej mówił:

— Czteroletni pobyt w Afryce, życie obozowe, klimat podzwrotnikowy, uganianie się za zwierzem w pustyni, starły ze mnie elegancyę i paryzkie wzięcie, przyjezdni znajomi, których spotykałem, jedni nazywali mię dzikim turkosem, drudzy mówili, że zazdroszczą mi tej prawdziwej męzkiej siły i wyglądu. Byłem prędki, porywczy, ale starałem się wrócić do dawnej paryzkiej wytworności.

Po kilkotygodniowym pobycie w Nicei, zacząłem przychodzić do siebie; przypomniałem dzie-

cinne lata i zapamiętale używałem przejażdżek po morzu, miałem stale wynajętą łódkę, sam jednak wiosłować nie mogłem, lewa ręka jeszcze nie pozwalała.

Pewnego dnia, wysiadając z łodzi w przystani, byłem świadkiem jak jakiś drągal przewoźnik w impertynencki sposób domagał się nadpłaty od dwóch dam, które wysiadły z jego łodzi. Usłyszałem:

— Nie rozumiem doprawdy, jak możecie być tak niegrzeczni i natrętni, dostaliście o franka więcej jak umówiłam się.

Było to wypowiedziane tak łagodnie i śpiewnie, że z lubością obejrzałem się, aby zobaczyć właścicielkę tego cudnego głosu. Damy były zawoalowane, a przytem już tak się ściemniło, że rysów dojrzeć nie mogłem. Przewoźnik zaczął groźnie krzyczeć i giestykulując rękoma podchodzić do dam, schwyciłem go za kark i wrzuciłem w morze. Wystraszone kobiety krzyknęły i pędem uciekły, a ukarany wyłaził z wody doszczętnie zmoczony. Rzuciłem mu „ludwika" i prędko poszedłem, aby dogonić damy, ale znikły mi z oczu.

Cały wieczór nie mogłem się uspokoić, głos nieznajomej dziwnie mię zelektryzował, nie znajduję słów, aby go określić: aksamitny, pełen jakiejś niebiańskiej harmonijnej łagodności, trochę przytłumiony jakby z pod sordynki, rzewny, a radujący duszę i pieszczący słuch. Takim głosem chyba tylko cherubini śpiewają chwałę Stwórcy!...

Zacząłem walkę sam z sobą, szydziłem: mnie żołnierza, tępiciela królów pustyni, wzruszył i przejął głos kobiety! Chcąc sobie wyperswadować, wmawiałem w siebie, że nieznajoma jest podstarzałą „epissierką." Tak mówił żołnierz, ale artysta widział ją oczyma duszy: młodą, piękną, uroczą i szukał jej ciągle i wszędzie. Chodziłem codziennie na przystań aby ją spotkać, wyszukałem owego skąpanego przewoźnika, chcąc od niego dowiedzieć się czegokolwiek, ale się nic nie dowiedziałem. Szukałem jej w salonach gry w Monte-Carlo, przysłuchując się a nawet podsłuchując.

Kilka dni spędziłem w Cannes, nie znalazłem jej nigdzie: Minął miesiąc od spotkania, nie traciłem nadziei, łudziłem się. Byłem już zdrów, ręka pozwoliła wiosłować, to też korzystałem z tego. Zostawało już tylko sześć tygodni z urlopu, wkrótce miałem opuścić Niceę, pojechać do Brehat, zobaczyć matkę i córkę, a następnie wracać do Afryki.

Była wielka zabawa kwiatowa. Zasiedliśmy z dwoma przyjaciółmi w pierwszym rzędzie trybuny na placu Massena. Powozy ubrane barwnymi kwiatami przesuwały się tuż przed nami, najrozmaitsze kombinacye kolorów były zastosowane, przepiękne corso zachwycało oko. Zaczęło się rzucanie bukiecikami. Zaopatrzeni w kilka koszyków dziarsko rzucaliśmy w panie przesuwające się przed trybuną, publiczność głośno wypowiadała swoje zdania o dekoracyach powozów, strojach dam i ich urodzie. Przeciągłe aa! podziwu i brawa zwrócił na siebie duży powóz, przedstawiający się jakby olbrzymi kosz kwiatów, nawet koła były oplecione. Białe hyacynty i narcyzy z gałązkami pąsowej jak dojrzały berberys „Salbii."

Dwie kobiety, ciemne szatynki, uśmiechnięte, jechały w powozie, ubrane w kolory kwiatów, a ogromne pąsowe kapelusze stanowiły efektowny kontrast z ich alabastrową cerą. Rzucały pęki kwiatów, ale i je bombardowano natarczywie. Powóz zrównał się z nami, rzuciłem odrazu kilka bukiecików do powozu. Dama siedząca z lewej strony zamierzyła się ogromnym pękiem na mnie, oczy nasze spotkały się, poznałem baronowę de Givonne, ona uśmiechnęła się, rzuciła we mnie kwiatami i wychylając się wołała:

— Dzień dobry, przychodź pan na obiad, czekamy!

Powozu zatrzymać nie wolno, rzuciłem jej kilka bukiecików i wołałem:

— Jak drugi raz będziecie panie przejeżdżać wsiądę do powozu.

Odpowiedzi nie słyszałem, powóz już oddalił się.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z RUCHU UMYSŁOWEGO.

Ex oriente lux — woła tłómacz Ramayany, a okrzykowi temu wtóruje echo przepowiedni Szopenhauera, że literatura staroindyjska wywrze kiedyś na umysłowość Europejczyków wpływ daleko głębszy i potężniejszy, niżeli w swoim czasie grecka i łacińska.

Piękny swój przekład „jednego z największych niewątpliwie arcydzieł ducha ludzkiego" poprzedził A. Lange wstępem dla czytelnika naszego niezbędnym. Żałować można wprawdzie, że wstęp ten nie jest dłuższym, bardziej wyczerpującym, że nie dosyć uwzględnia zupełną niemal nieznajomość naszą tego starego, a tak bardzo zajmującego piśmiennictwa, w każdym razie jednak pozwala on o charakterze Hindów i literaturze ich powziąść pewne, ogólne przynajmniej wyobrażenie.

Na przyrodę Indyj zwraca przedewszystkiem tłómacz uwagę naszą. „W krainie tej—mówi,— oblanej wodami szerokiego oceanu i olbrzymich rzek, palonej od promieni zwrotnikowego słońca, kwitnącej lasami palm, bananów, sandału, pełnej gwaru złotobarwnych ptaków, krzyku małp, ryku zwierząt olbrzymich... w krainie tej duch tak mało na ciężką pracę skazany, może się oddawać rozmyślaniom i kontemplacyom. Jest to grunt na którym powstaje naród marzycieli i filozofów." Olbrzymio na tej ziemi rozwija się życie duchowe; myśl ludzka przed wiekami już dosięga tam wyżyn, na których my Europejczycy dziś dopiero stajemy, a nawet, jak twierdzą niektórzy, nie dosięgnęliśmy ich jeszcze.

Wraz z tym jednostronnym rozwojem, energia czynu słabnie, żywotne siły narodu więdnieją. Są to wszystko następstwa klimatu i otoczenia, przytłaczającego bogactwem swem i bujnością.

Nie byli bowiem Hindowie pierwotnie tą rasą uduchownioną, a małą zdolną do czynu, jaką okazują się później, jaką znamy ją dziś. Gdy przed wiekami ze wspólnej ludów aryjskich siedziby, wyżyn Azyi środkowej schodzili nad brzegi Gangesu, byli ludem młodzieńczym, we wszystkich kierunkach okazującym zdolności. Podbój Indyj dowodzi, że nie zbywało im bynajmniej na energii czynnej. Nieśli oni ze sobą poetyczną religię przyrody, której wyrazem były zapewne już wtedy księgi Wedyckie, a przynajmniej najdawniejsza z nich *Rig Weda*. (Weda znaczy to samo co polskie „wiedza," czeskie „veda"). Na tem pierwotnem podścielisku pojęć religijnych po opuszczeniu Iranu każde z rozproszonych plemion aryjskich odrębną wyhodowało roślinność. Najwierniej spuściznę duchową swych ojców irańskich przechowali Słowianie. Pozostali oni przy czystem ubóstwieniu sił natury z dodatkiem kultu jakiejś istoty wyższej zwanej Prawem (Prowe). U Skandynawów pod wpływem surowego klimatu i przyrody wrogiej, stare myty przybrały charakter posępny, okrutny, krwawy. U Celtów spuścizna aryjska przeszła w tajemniczy, arystokratyczny druidyzm, u Pelazgów stała się „marmurowym, czystym niebiańskim uśmiechem dziejów na ponurem tle historyi," u Indów wreszcie stare pomysły aryjskie zjawiły się jako „potworne, ogromne, pałające ogniem zwrotnikowym potęgi, budzące postrach, sprowadzające istotę ludzką do nicości, i zarazem rozszerzające ducha jej w nieskończoność." „Ten potok podwójny — mówi w dalszym ciągu tłómacz — jednoczesne rozszerzanie się człowieczeństwa w człowieku i zanikanie w nim osobniczości stanowi cechę umysłu, kultury i piśmiennictwa Indyj."

Tu następuje pobieżny szkic dziejów literatury indyjskiej, jednej z najbogatszych na świecie. Od hymnów religijnych wznosiła się ona ku coraz wyższym regionom myśli filozoficznej.

Na sześć głównych szkół t. z. *darsanas*, dzieli się filozofia Indyj. Szkoły te „mimo wielkie różnice pomiędzy sobą, mają jeden charakter ogólny—panteizm." W dalszym ciągu wspomina Lange mimochodem o *Księdze Manu*, będącej jednocześnie kodeksem i księgą teozoficzną, o budyzmie, w którym myśl indyjska dosięgła krańcowego szczebla swej jednostronnej ewolucyi, i przechodzi wreszcie do poezyi właściwej.

Podobnie jak w innych krajach, epopea poprzedziła w Indyach dramat. Najważniejsze poematy epiczne indyjskie są: *Mahabarata*, dzieło olbrzymie, liczące 107,389 dwuwierszy (slokas) i znacznie od niej późniejsza, a o wiele krótsza *Ramayana*. Powstała ona prawdopodobnie w IV lub III w. przed Chrystusem, a za autora jej uchodzi poeta Valmiky.

Jeżeli z punktu czysto artystycznego porównywać zechcemy starodawny ten pomnik piśmiennictwe indyjskiego z rapsodami Homerowymi, będziemy zmuszeni tym ostatnim przyznać wyższość niezmierną. Jest w nich więcej harmonii, ładu, jest przejrzystość i pogoda grecka. W Ramayanie „słońce goreje podzwrotnikowe, wegetacya bujna i straszliwa kwitnie dokoła; węże jadowite, słonie, małpy, potwory ohydne, bogowie o tysiącu oczu i rąk, widziadła przytłaczające ducha, niby we śnie widywane polipy lub skorpiony chaosem ci mózg wypełniają, pozbawiony fantazyj syn północy omdlewasz pod tym ogromem."

Ale z punktu widzenia moralnego Ramayana i wogóle wszystkie płody literatury indyjskiej o całe niebo przewyższają utwory poetów starożytnych. Grecy Homera to ludzie pierwotni, to dzieci, idące za każdym popędem przyrodzonym, Hindusi, to dojrzali mężowie, to dusze świadome. Bohater Iliady, Achilles, unosi się samolubnym gniewem, i gniew boskiego Achilla staje się przedmiotem poematu. Inaczej w Ramayanie. Jej treścią walka, którą stacza bohater zawsze piękny, promienny i potężny, wcielenie wszystkiego, co jest czystem, szlachetnem, wielkiem w naturze ludzkiej przeciw siłom zazdrosnym i tajemniczym, lub przeciw duchom zła i ciemności. Zwa-

ny jest wprawdzie Rama „bohaterem o wielkich ramionach," ale jednocześnie epitetami jego powtarzającymi się nieustannie są „pan swojego gniewu," „pan swoich zmysłów," „wcielenie obowiązku," „wcielenie prawdy" i t. d.

Takich wysokich ideałów etycznych, jakie spotykamy u Hindusów, nie stawiają nam i nasze literatury przed oczami.

Nie oswojeni z nimi, możemy poczytać nieraz za niedołęztwo to, co u Ramy jest wzniosłym spokojem człowieka, którym nie powoduje nigdy namiętność i wzruszenie egoistyczne. „Cześć prawdy i obowiązku, zwalczanie namiętności, panowanie nad swym gniewem, uległość i pokora względem idealnych potęg ducha — są to wszystko wymagania moralne, do których nietylko starożytni, ale i my nie doroślismy może" kończy Lange.

Niektóre urywki Ramayany tłómaczyli u nas Groza, Szujski, ks. Malinowski, Leciejewski. Całość daje nam po raz pierwszy Antoni Lange, przyswoiwszy językowi naszemu przekład francuzki Hipolita Fauche.

Jest to przekład popularny. Dzieło Walmiky'ego uległo w nim pewnym skróceniom, a właściwie usunięto z niego ustępy, które tylko uczonych studyujących filozofię i religię Hindów zajmować mogą.

„Oswobodzana z nadmiernych bogactw Ramayana" przedstawia się czytelnikom naszym dzięki pięknemu przekładowi Langego w szacie, mogącej zadowolnić bardzo wygórowane wymagania estetyczne.

Na niwie piśmiennictwa naszego rzadko kiedy ukazują się plony poważnej, naukowej pracy. W czemkolwiek upatrywalibyśmy przyczynę zjawiska tego, faktem pozostanie, że z oryginalnie napisaną książką naukową spotkać się u nas nie łatwo, i że brak ten zastępować nam muszą tłómaczenia z autorów obcych. Przez pewien czas kwitło u nas dość bujnie dziejopisarstwo.

W ostatnich latach i ta gałęź zaczęła więdnąć i usychać. Najznakomitsi pracownicy usunęli się. Szujski, Pawiński, Rolle umilkli na zawsze.

W tym ostatnim, ulubiony przez publiczność naszą rodzaj *szkiców historycznych* utracił jednego z najsumienniejszych i najbardziej utalentowanych przedstawicieli.

Obecnie spotykamy znowu na półkach księgarskich pracę historyczną podznaczoną tem samem nazwiskiem. Michała Rolle „Z przeszłości," jest bardzo sumiennie i źródłowo skreśloną monografią starostwa Barskiego—w epoce przedzygmuntowskiej, noszącego zamiast dzisiejszej, włoskiego pochodzenia nazwy — miano okręgu Rowskiego.

Nie każda senny dzisiaj żywot wiodąca, uboga i brudna mieścina może się pochlubić przeszłością tak pełną burz i zmian jak Bar. Dla poety, powieściopisarza, niewyczerpanem źródłem są czasy, gdy na owych kresach wrzało życie tak pełne ruchu i gwaru, gdy każda niemal wiosna niosła ze sobą jakąś zawieruchę, gdy przed dziczą Tatarską w gąszczach leśnych szukać trzeba było ukrycia, gdy na każdym kroku groziła śmierć lub jassyr. Z tych to czasów „baśnie ludowe opowiadają łzawe historye o dziecku, które matka uśmiercić musiała, by ono kwileniem swojem nie naprowadziło Tatarstwa; o dziewczynie wiejskiej, co wracając z konwiami od rzeczki mimowoli pokazała drogę myszkującym najezdcom i t. d."

Takich to historyi świadkami były lasy otaczające niegdyś Bar, takie rozgrywały się sceny na żyznych obszarach okręgu rowskiego, którego dzieje opowiada nam młody badacz przeszłości.

Studyum Rollego napisane z talentem i mimo ścisłości naukowej w sposób przemawiający do wyobraźni, zdaje się zapowiadać w nim pożytecznego dla nauki naszej pracownika.

H. C.

Antoni Miecznik.

OWANES OHANA.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Stefan rzucił raz drugi na nich podejrzliwie oczyma, i witając się pytał:

— A cóż wy tu sami? Gdzież Oleś poszedł, przecież z majdanu odeszliście razem.

— Oleś pojechał do Mohilowa — odezwała się pierwsza Helena, przymuszając się do spokoju.

— Aż do Mohilowa? Tak daleko? — Mówił Stefan z uśmiechem, i nie przestawał złośliwie na nich spoglądać.

— A po co pojechał?

Helenę zniecierpliwiła ta indagacya, odparła więc ostro:

— Mój kochany, dajże mi pokój! Czy ja wiem po co—pewnie miał interes jaki i pojechał. Zaczekaj na niego, ma niedługo wrócić, a skoro wróci, to ci sam powie.

— Nie oburzajże się tak na proste zapytanie — zawołał, — jeżeli się pytam, to widać, iż mi to do wiadomości potrzebne; mam z nim pewną sprawę do załatwienia.

Ohana przygryzając usta słuchał tej krótkiej rozmowy, a widząc, że przybiera ton drażliwy, wtrącił:

— Dajcie państwo pokój! Ja ci powiem Stefek; jeżeli masz bardzo pilną sprawę do Szymonowicza, to go poszukaj w Mohilowie, znajdziesz go z pewnością albo u Kornbluma, albo u Cukiermana, przynajmniej tam ci powiedzą, gdzie on jest. A skoro cię nic nie nagli, to sobie usiądź z nami i opowiedz, co tam od dwóch godzin na jarmarku słychać. Możeś widział moje konie u Muńki, dokąd je Tigranes zaprowadził?

Rozmowa potoczyła się na temat obojętny przygód jarmarcznych; udawano wesołość i dowcip, choć go w gruncie nie odczuwano. Stefek raz po raz podejrzliwie zaglądał siostrze i Owanesowi w oczy, jakby chciał w nich odszukać potwierdzenia przypuszczeń pewnych, które mu się oddawna w głowie gmatwały.

Wreszcie Helena powstając zawołała:

— Wyjdźmy! Już się ma ku zachodowi, może na powietrzu będzie znośniej, bo mnie męczyć zaczyna siedzenie w tej klatce. Zresztą jestem niespokojna o Zosię, co ona tam z tą Różą robi.

— Dobrze, chodźmy!

Wyszli z kantoru. Tłumy po dawnemu przeciągały nad brzegiem nieskończonym łańcuchem; jedni śpiewali, inni mówili, krzyczeli, a z tych wszystkich dźwięków chaotycznie pomieszanych rozlatywało się po zapylonem, rozgrzanem powietrzu jedno przeciągłe monotonne huczenie. W huczeniu tem wlokącem się, wznoszącem, płynącem drżało coś potężnego, co robiło wrażenie oddechu jakiejś olbrzymiej istoty, unoszącej się nad tą gromadą ludzi i owiewającą ich swem tchnieniem gorącem.

Usiadłszy na workach nad samym brzegiem Dniestru, przyglądali się miastu nic nie mówiąc. Ohana oparty o wystającą belkę śpichrza, patrzał z ukosa na Stefana, zdającego się coś obliczać, kombinować, układać jakiś plan niewyraźny. Podobnie jak Helena nie kontent był z tego, że ten człowiek, któremu oboje jednakowo nie ufali, tak ich razem zeszedł niespodzianie, właśnie wtedy, gdy mieli dla usunięcia wszelkich podejrzeń opuścić biuro. Może on co wyczytał w ich oczach, biedzili się trwożliwie, może zauważył zmianę na twarzach; kto wie, może co wywnioskował? A bali się oboje napięcia zbytniego struny, jaka się zawiązała pomiędzy niemi trojgiem, by potem tem raptowniej nie pękła.

Już od pewnego czasu Owanes zauważył, że Szymonowicz rzucał podejrzliwem okiem na jego stosunek niby przyjazny z żoną swoją; nie dał mu tego wprawdzie poznać po sobie, lecz on to czuł; zresztą przypuszczenie jego ona sama dziś potwierdziła. Niechby tylko raz coś stanowczego, pewnego podpatrzył, wówczas spokojna sytuacya zaostrzyćby się mogła, a normalny, cichy stosunek tak samo zachmurzyć, jak to niebo, które od Zachodu pogodne lazurowe, od Wschodu zasnuwało się coraz więcej sinymi i czarnymi puchami obłoków.

O siebie mu nie chodziło, on już dawno, on już od lat dziesiątka o losie swym zadecydował, ale o nią. Czy w razie jakiejkolwiek katastrofy nie ulegnie również tak, jak uległa wówczas, kiedy ją zmuszono do poślubienia Szymonowicza? Ulegnie, zerwie z nim, porzuci go, i on zostanie znowu sam... jak przedtem.

A onby teraz już tej pustki, tego wygnania z jej myśli, z jej życia nie zniósł, nie umiałby się pogodzić z tem przypuszczeniem niepowrotnej rozłąki. Trapił się tem podobnie jak ona, i podobnie jak ona spoglądał na wznoszące się po wzgórzach domki mohilowskie, spowite w zielone wieńce ogrodów.

Nagle Stefan podniósłszy rękę do oczu, by lepiej widzieć, zawołał.

— A otóż i oni! Cała gromada ich jedzie.

— Kto? gdzie?

— Widzę Olesia, przy nim siedzi Russo, a ten trzeci, to chyba ów Wiedeńczyk. Ale jest jeszcze ktoś...

— Jakieś panie! To zdaje się stara Antoniewiczowa; poznaję ją po tym ogromnym kapeluszu bez gustu, który sobie kupiła w Wiedniu.

Powiedziawszy to, Helena spojrzała nagle na Owanesa, przekomarzającego się półgłosem z Zosią. On, jakby uczuł przeszywające go spojrzenie, podniósł oczy i wesołość w nich zaświeciła. Podobał mu się ten ton zjadliwy, z jakim się odzywała o kapeluszu pani Antoniewiczowej.

— A to dobrze, że już wracają! Nareszcie doczekałam się tatusia — wołała Zosia, klaszcząc w dłonie, i biegnąc ku brzegowi, do którego właśnie dobijała łódź, wioząca rzeczywiście wszystkie wymienione osoby.

— Czekamy, czekamy; a nie możemy się doczekać na ciebie — zwróciła się Helena do męża, przywitawszy się z przybyłymi.

— Moja duszo, interesa! Niech je dyabli wezmą. Wyobraź sobie pan — zaczął Szymonowicz, zbliżając się do Ohany, który zabierał się właśnie do rozmowy ze starą Antoniewiczową.

— Wyobraź pan sobie: ten szubrawiec Korngold zmówił się widocznie z Cukiermanem, bo obaj jedno śpiewają: że gabarów na czas dostarczyć nie mogą; brakuje im ludzi do sprowadzenia ich z Werchówki.

— Przypuszczałem to, zwyczajna rzecz; żydzi chcą na nas zarobić.

— Ja też tak myślę.

— Jednakże nie zarobią ani karbowańca więcej, niż im się należy.

— Jakim sposobem? Przecież ludzi nie mamy a na sprowadzenie gabarów z Werchówki potrzeba całej partyi.

— Więc dostaniemy partyę — odparł podnosząc głos Ohana.

— Jak?

— Jak? Zaraz panu powiem. Przypuszczając, że z tymi złodziejami interes się nie uda, wysłałem przedwczoraj Tigranesa do Runeszt, ażeby tam ludzi zamówił.

— No, i zamówił?

— Naturalnie.

— A to złoty człowiek, ten pański Tigranes.

— On więcej niż złoty, on ormiański człowiek.

Kończąc te słowa Ohana zbliżył się do pań, które rozmawiały wesoło, śmiejąc się z różnych przygód jarmarcznych i zapytał panny Antoniewicz, jak jej się tegoroczny jarmark podoba.

— Tak sobie, jak co rok — odrzekła.

— Czy pani nie znajduje żadnej różnicy?

— Owszem. Pamiętam, w przeszłym roku był deszcz, a w tym roku nie.

— Ja to już od całego dziesiątka lat nie byłem na otackim jarmarku, więc robi on na mnie wrażenie dziwne; przypomina mi Wschód swym gwarem bezładnym.

Ona rozmawiała swobodnie, dopytywała się Ohany co kupował, czy mu się konie spodobały, czy już pozałatwiał wszystkie interesa i sprawunki.

— I my już skończyliśmy z Mohilowem — mówiła, — nic nam nie pozostaje, tylko zabierać się do domu.

Na chwilę rozmowa się urwała, niebawem panna znowu ją podjęła, mówiąc:

— Panie Ohana, mam do pana pretensyę.

— Jaką?

— Pan obietnic nie dotrzymuje.

— Oh!...

— Tak jest, przyrzekł pan w przeszłym tygodniu przyjechać do nas na krokieta, i nie przyjechał.

— Pani daruje—usprawiedliwiał się zagadnięty,— ale czasu nie miałem; cały tydzień zajęci byliśmy z panem Szymonowiczem odstawą zboża do Odessy.

— To pan Ohana gra w krokieta? — spytała naraz Helena, stojąca obok Russa i słuchająca razem z innymi jego gawędy.

— To pan Ohana gra w krokieta? — powtórzyła, i zazdrosna, złośliwa nuta zagrała w jej głosie.

— A jakże! — odrzekła z zapałem panna Józefina, nie przeczuwająca nawet cienia złośliwej intencyi w zapytaniu Heleny. — A jakże! Nauczyłyśmy pana z siostrą, i mamy z niego doskonałego partnera.

— To prędko się pan włożył do panieńskiego krokieta — zwróciła się doń Szymonowiczowa.

Ohana nic na to nie odrzekł, jeno wargi przygryzł; gniewała go ta indagacya Heleny, ten zjadliwy uśmiech, którym jego i młodą pannę obrzucała.

On musi tych krokietów, wizyt, rozmów z temi srokami zaprzestać — myślała sobie, udając spokój i swobodę.

Nie mogła mu tego darować, to też kiedy znalazła chwilkę bezpieczną szepnęła doń:

— Te sroki, te krokiety, te gawędy mnie męczą—ty mnie nie kochasz prawdziwie...

Na te słowa Ohana roześmiał się gorzko i rzekł cicho:

— Gdybym mógł?...

Słońce już dotykało wapiennego wzgórza z przeciwnej strony, słaniało się ku ziemi, staczając się całe czerwone, rozpalone za światy. Na wschodzie chmury się już ściskały w jedną gromadę, która wolno sunęła ku środkowi pogodnego firmamentu. Opar rzadki, przejrzysty wznosił się ku górze, zasnuwając rzekę niby jakąś zasłoną eteryczną.

— Chyba to już czas na nas — rzekł Szymonowicz, spoglądając na zegarek.

Była godzina ósma.

— Jedźmy zatem! — powtórzył do żony. — Jeżeli już nie na nas, to przynajmniej na Zosię pora.

— To jedźmy — odparła Helena, rzuciwszy smutnem okiem na Ohanę, któremu Russo coś szeptał do ucha.

Żal jej było opuszczać Otak smutek niepostrzeżenie rozlał się na jej obliczu śniadem, kiedy podając Owanesowi na pożegnanie rękę pytała:

— Pan jeszcze zostaje?

— Nie, zaraz jadę, tylko się muszę wpierw zobaczyć z Tigranesem, który tam pewnie czeka na mnie u Muńki.

— Dowidzenia! Niechże pan nie zapomina o nas!

— Dowidzenia! Przyjadę, skoro czas pozwoli.

Szymonowiczowie odjechali, a on z resztą towarzystwa wrócił do zajazdu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PRACA KOBIET.

Gałęzie pomocnicze gospodarswa wiejskiego.

Wątpliwości nie podlega, że poszukująca pracy kobieta zanadto garnie się do miast, i to jest właśnie jedno ze spostrzeżeń, które koniecznie zrobić musi każdy, kogo żywo obchodzi los tego całego zastępu aspirantek, dobijających się bytu za dni naszych.

Pojmujemy, że szukać musi koniecznie ognisk ruchu intellektualnego i ekonomicznego wszystko to, co pragnie zdobyć sobie uzdolnienie do jakiejś pracy zawodowej, albo zużytkować nabyte już poprzednio wiadomości. I to uwzględnić należy również, że zaskoczeni niespodzianie potrzebą pracy—tak dobrze mężczyzna jak kobieta, przedewszystkiem cisną się do miast wielkich, bo tutaj chociaż toną jedni, ale za to od czasu do czasu wypływa ktoś na powierzchnią. Te pojedyncze powodzenia głośne są zawsze, podczas gdy szamotania się w nędzy i opuszczeniu nie widzą zazwyczaj ludzie. Rozumiemy tedy wszystkich poszukujących zarobku — wszystkich zatroskanych o dzień jutrzejszy, którzy nadzieje swoje ufundowali na tym wielkim rynku pracy, ale nie przeszkadza nam to bynajmniej dopatrzeć się często bardzo w tym wirze jednostek, na które czekają tutaj zawody prawie niechybne, a które przy rozwadze, i po zbadaniu sumiennem własnego powołania, od tych goryczy i zniechęceń łatwo bardzo zabezpieczyćby się mogły.

Zapowiadając czytelniczkom naszym szereg artykułów o pracy kobiecej, nie mieliśmy na myśli wyłącznie tych zajęć, professyj i powołań, które pracownicom zaofiarować może miasto. Tak dobrze w mieście jak na wsi żyć, pracować i poszukiwać zadowoleń moralnych może u nas kobieta, trzeba jej tylko rozjaśnić sobie położenie, aby się dowiedziała, po co można wyciągnąć rękę z nadzieją powodzenia — a co odrzucić jako złudzenie niebezpieczne.

Kobietę pracującą samodzielnie na wsi, wystawić sobie możemy na kilku dosyć różnych od siebie stanowiskach.

Uprzywilejowane miejsce w tej hierarchii zajmie oczywiście kobieta, jako posiadaczka większej własności ziemskiej. Na tej drodze czekają na nią te wszystkie powodzenia albo rozczarowania, z któremi spotyka się mężczyzna.

Idzie też głównie o to, co przynosi ona ze sobą do tej walki, która jest niezaprzeczenie jedną z najtrudniejszych w naszych warunkach — z jakimi zapasami wiadomości i środków materyalnych, wytrwania i miłości swojej pracy staje ona do trudu, który niejednego dzisiaj odstrasza mężczyznę. Jeśli zwycięży, przetrwa, zażegna złe losy—tem większa chwała dla niej, bo istotnie zadanie warte jest tego, aby mu poświęcić życia część najlepszą, a co do nas skłonni jesteśmy uwierzyć, że alarmy i wszelkie „sauve qui peut" dzisiejszych dni, odważnej i dzielnej kobiety, której los taką rolę przeznaczył, odstraszyć nie powinny. Podejmowały takie brzemiona matki i babki nasze, a wywiązywały się z nich ku zaszczytowi płci swojej, nie rozumiemy zatem, dlaczegoby ta, która dzisiaj powiada o sobie, że jest odważną i równą mężczyznie, miała być taką, w utworze powieściowym jedynie.

Zdaniem naszem, może być nietylko równą — może przewyższyć kobieta mężczyznę, jeśli w spełnienie obowiązku więcej od niego włożyć potrafi miłości, zrozumienia i hartu.

Zadania kobiety tej kategoryi rozbierać szczegółowo nie będziemy. Przez właścicielkę realności ziemskiej znaczniejszej, rozumiemy osobę posiadającą środki i stosunki, nadto mającą swoje instynkta, tradycye pewne, i jakąś względną rutynę, co wszystko razem wzięte daje jej możność łatwego ocenienia sytuacyi, gdy ją okoliczności postawią oko w oko z tego rodzaju zadaniem. Jest to w takim wypadku kwestyą odwagi, determinacyi — charakteru jednem słowem.

Ufamy, że kobiet z charakterem nie braknie u nas dzisiaj, tak jak ich wogóle nie brakowało nigdy. Czy matka dla dzieci, czy kobieta niezamężna, gdy pragnie z głębi serca ocalić spuściznę ojcowską, potrafi się zdobyć na pewne ofiary

i abnegacye; zależy to wszystko od zrozumienia życia i jego zadań.

Po za tą formą posiadania wyłącznego, o której powiedzieliśmy wyżej, istnieją dwie jeszcze inne, w których udział kobiety równie jest ważnym jak tutaj, a które tem się tylko różnią od poprzedniej, że w nich obydwóch kobieta, podejmuje trud gospodarstwa wiejskiego do pewnego stopnia cięższy, bezpośredni, co już jest prostą wynikłością mniejszej zamożności i wskutek tego, potrzeby przystosowania się do warunków nieco uciążliwszych. Istota rzeczy pozostaje ta sama.

Chcemy tu mówić:

1) O kobiecie jako współwłaścicielce czynnej odziedziczonego majątku ziemskiego, w którym ona część pracy bierze na siebie, aby nie wywoływać rujnujących zawsze prawie, a dziś niechybniej niż kiedykolwiek, działów rodzinnych.

2) O kobiecie, która z tych samych względów co powyżej, pozwala się rodzeństwu spłacić częścią majątku w naturze, i na takiej części ojcowizny, gdy na jej wydzielenie warunki miejscowe pozwalają, postanawia szukać dla siebie pracy.

Obydwie te formy bytu potrzebują energii, zdrowia, siły, przedsiębiorczości—potrzebują tych przymiotów, które stanowić winny cechy najcharakterystyczniejsze kobiet dobijających się dzisiaj niezależności. Nadmienimy tu przedewszystkiem, że przykłady takich stosunków i układów rodzinnych spotykamy dzisiaj coraz częściej, i że wszędzie, gdzie przyjęto za podstawę albo podział pracy, albo podział własności w naturze, rezultaty okazały się najzbawienniejsze. Idzie też tu głównie o wciągnięcie w rachunek kobiety jako jednostki czynnej, a nie tej zapory, którą nazwyczailiśmy się widzieć w ciągu ostatnich lat 30 lub 40 — zapory, która w epoce idyotycznego prawdziwie poniżenia w umysłach pracy rolnej, oczekiwać tylko umiała na swój dział majątkowy, aby jak najrychlej otrząsnąć proch z nóg na progu tego domu, który tyle co ongi potrzeb i kaprysów zaspokajać nie zdołał na tę chwilę.

Kobieta z przed tej epoki przełomowej podatną była zupełnie do wzięcia udziału czynnego w zajęciu, którego pożytku i szlachetności nikt kwestyonować nie myślał; kobietę dzisiejszych czasów powraca zajęciu rolnemu jej wyższy stopień dojrzałości — fatalnym prawdziwie był tylko ów parę dziesiątków lat trwający ferment, który migotał przed oczyma nieszczęśliwej ofiary wszystkimi mirażami sławy, i prawił jej o wszystkich ideałach, z wyjątkiem tego jednego, który wiele bardzo kobiet miało pod ręką, z Bożej łaski i szczodrobliwości losu. Samodzielność i niezależność miała na nią oczekiwać na wszystkich polach pracy dostępnej i niedostępnej faktycznie, byle tylko nie na tem jednem.

Możemy się spodziewać, że z tą plagą skończone u nas do pewnego stopnia.

Ma już to do siebie wszelka zamożność wyższa, że przy niej wolno nam poniekąd odgadywać, przeczuwać, domyślać się, podczas gdy przy zamożności mniejszej i płynącej ztąd konieczności osobistego dołożenia ręki, potrzeba nieuchronnie wiedzieć — na pewno wiedzieć, czy umieć rzecz swoją. Właścicielka majątku dużego, może mieć swoją stanowczość, swój sąd zdrowy, przejęcie się obowiązkami, a przy pewnym talenciku administracyjnym i doborze wyręczycieli umiejętnym, może zupełnie dobrze sprostać zadaniu swojemu.

Bywały i bywają jeszcze przykłady takie.

Inaczej jednak mają się rzeczy z tą, która bierze na siebie dział pewien, albo i kilka działów gospodarstwa wiejskiego, a jeszcze inaczej trochę tam, gdzie kobieta chce samoistnie egzystować na małym jakimś folwarczku, kolonii czy osadzie. Tu już nic nie może być pozostawionem domysłowi — tu kobieta ma obowiązek znać do dna to do czego się zabiera, a że warunki są u nas trudne wyjątkowo, znać rzecz, nazywa się wiedzieć o niej wszystko, co ludzie w danej gałęzi pracy dotąd obmyślili i wprowadzili w wykonanie. Za granicą ma kobieta już swoje kursa rolnicze; u nas dotąd może się ona dowiadywać o kilku działach produkcyi rolnej i gospodarstwa domowego w zakładach, które powstały w ostatnich czasach, a co do których pożądanego rozwoju w przyszłości wolno nam mieć najlepszą otuchę.

Własność ziemska dąży siłą okoliczności do rozdrobnienia. Nie chcemy tutaj bynajmniej mówić o rozbiciu jej na kilkunastomorgowe parcelle, które żadnej pożądanej ekonomicznie i nieekonomicznie fazy stosunków zainaugurować nie mogą, ale mamy na myśli tego rodzaju podział jednostki rolnej, który z jednego warsztatu większego, przy pomyślnych warunkach lokalnych, wytworzyć jest wstanie kilka warsztatów mniejszych samoistnych—szczuplejszych rozmiarem, ale noszących w sobie należyte zarody rozwoju.

Jest tu niezaprzeczenie miejsce w tej robocie i na kobietę także. Kto twierdzi, że siłą woli dorównywa mężczyźnie, kto utrzymuje, że żyć, to być pożytecznym, kto pożąda pracy jako atrybutu godności człowieczej, a radby oddziaływać i szerzyć wpływy dodatnie, ten nigdzie nie znajdzie obszerniejszego pola pracy. Co do niezależności, to zawisła ona od tego, jak kto pojmuje niezależność. Być zależnym od wpływów przyrody, jestto bądź-co-bądź być na służbie u wielkiej pani — czasami kapryśnej, niekiedy surowej, ale zawsze hojnej i wspaniałomyślnej. Na wszelkich szczeblach hierarchji ludzkich, zależność od człowieka stokroć gorzej upokarza, dokucza, a nawet obrzydza życie. O tem nie należy zapominać nigdy, bo to jest prawda niezbita.

A stosunek z ciemnotą, a wyrzeczenie się świata, stosunków, wymiany myśli i innych potrzeb?

Odpowiemy krótko: Albo są na świecie hasła, obowiązki, idee i missye do spełnienia, albo ich niema. Albo je się odczuwa, przyjmuje i poślubia, albo się przechodzi obok nich lekkiem sercem. Materyi do dyskussyi i sporów nie stanowi ta kwestya, i dlatego zasadniczą stronę sprawy uważamy w tem miejscu za wyczerpaną.

Mówiąc o różnych warunkach w jakich kobieta na wsi pracować może, nie wspomnieliśmy jeszcze o jej charakterze najzależniejszym—o pracy za wynagrodzeniem pieniężnem—pensyi, zasługach, czy jak tam sobie kto ten stosunek nazwać zechce. Zdaniem naszem, na terminie określającym mało tu bardzo zależy — istotę rzeczy stanowi, do jakiego stopnia taki stosunek z ram służebnictwa wydobyć się pozwala — innemi słowy: jakie ma szanse kobieta uczciwego pochodzenia, cywilizowanych nawyknień, a średniej inteligencyi do poświęcenia się pracy podobnej, i gdzie leżą pierwszeństwa i korzyści takiego położenia towarzyskiego przed innemi, skoro je z całym rozmysłem i po dojrzałej rozwadze zalecamy kobiecie.

Wszystko zależy, rozumie się, kim będzie osoba taka—jakie jej uzdolnienie—jaka praca i zamiłowanie professyi obranej — jakie jednem słowem plusy przyniesie ona ze sobą, któreby przeważyły na szali przy wyborze między nią a mężczyzną. Ogrodnikiem, pszczolarzem, w większych gospodarstwach rolnych, tak zwanym zagranicą „käze majstrem” a po naszemu—zajmującym się mlekiem i jego przetworami, bywa przeważnie mężczyzna.

Dzisiaj gdy kobieta spogląda i na tę gałęź pracy i milcząco zapytuje niejako nieśmiałem wzięciem swojem, ażali to dla niej dostępne lub nie, odpowiemy jej stanowczo:

Dostępne, ale pod warunkami. O tych warunkach, o tem także nowem zupełnie u nas stanowisku dla kobiety, pomówimy w następnej pogadance, gdy przyjdzie kolej do poszczególnego zastanowienia się nad każdą z gałęzi pomocniczych gospodarstwa wiejskiego.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ZKĄD SIĘ BIORĄ PRZESTĘPCY?

Obrazek z niedawnej przeszłości.

(Ciąg dalszy)

Ksiądz dotknięty tem do żywego zaczął badać organistę, czemu on tę manifestacyę przypisuje, ale i ten choć sługa kościelny, wciągnięty był do spisku i z pokorą obłudną, a z zadowoleniem wewnętrznem objaśnił proboszcza, iż się ludzie skarżą bardzo, że ich ksiądz z ambony *censeruje*, i że jeśli tak dalej pójdzie, to uczciwy człowiek będzie się wagował progu kościelnego przestąpić.

Zgryzł się biedny paroch takim nastrojem niepomyślnym, po długich z samym sobą walkach i wątpliwościach przyszedł i on do smutnej konkluzyi:

— Jużciż się o tego chłopca biednego z całą gromadą poróżnić nie mogę. Trzeba cierpliwości—może Bóg pozwoli jeszcze przyjść mu z pomocą. Zobaczymy, a tymczasem przyjdzie, jak widać, trochę wody dolać do swego wina.

Nie miał Józiek szczęścia za grosz, jak się pokazało; wszystko było przeciw niemu.

Platoniczna to była ta opieka, którą rozciągali nad nim, właściciel i proboszcz Poręby — opieka cała w dobrych zamiarach intencyach i projektach, ale gdy i taka nawet opuściła sierotę, gdy z różnych pobudek wyrzekli go się obaj protektorowie, niesprawiedliwość uzuchwaliła się przez to samo, i pewna bezkarności, poszła dalej niż dotąd.

Do tej pory mówili i matka i ojczym, że przecież się tam o nim nie zapomni, że takie on dziecko, jak i tych dwoje, które w ciągu lat trzech przybyły w chacie Góreckich, ale teraz, gdy z piątej już służby oddalony Józiek przyszedł po radę, pomoc, a jak się zdaje po przytułek czasowy do rodzinnej swojej Poręby, pozby to go się jak żebraka i włóczęgi.

Dla sąsiadów, z którymi trzeba się było jakoś rachować, miał to być także niby środek poprawczy tylko, ale dla Józka, który pojmował już dzisiaj w całej rozciągłości wielką krzywdę swoją, było to klęską—odepchnięciem ostatecznem.

Sieroctwo swoje czuł i dotąd, ale objawiało mu się ono w duszy pod formą tęsknoty za ojcem, za wioską rodzinną i za tem wszystkiem co go otaczało w pierwszych latach życia. Teraz przychodziło co innego zupełnie. Teraz znienawidził naprawdę tego ojczyma, o którym mu ludzie różne potworności opowiadali; teraz zrozumiał znaczenie i następstwa środka, przez który wyzuto go z ojcowizny. Zawziętość jakaś zrodziła mu się w sercu dla matki, która go się tak wyprzeć potrafiła, a nakoniec i ta Poręba, którą tak bezświadomie miłował, stała mu się obrzydłą. Identyfikowała mu się ona ciągle w myślach z jego odtrąceniem i sieroctwem, i wyszedłszy z niej raz sierotą bezdomnym, już jej nigdy więcej oglądać nie chciał.

Służby, próbować nie myślał też więcej. Zależność, posłuszeństwo stały mu się nie do zniesienia. Dotąd omijał je—uchylał się od nich; teraz instynktownie wypowiedział im wojnę.

Takie natury pierwotne ani rozumują, ani postanawiają, ale gdy się coś w nich dokona takiego, co my nazywamy przełomem duchowym, idą za tem przeobrażeniem swojem w życiu i czynnościach wszelkich konsekwentniej i wytrwałej, niżby iść mógł jakikolwiek człowiek, który do postanowień przychodzi drogą rozumowania.

Słuchać nie chciał, jarzma nienawidził, a jednak żyć trzeba było, i to żyć o własnych siłach, bo jednocześnie taka się w nim zrodziła przeciw ludziom niechęć i nieufność, że byłby raczej z głodu zmarł w jakiej ustroni leśnej, niż komukolwiek upomniał się o wyświadczenie najdrobniejszej przysługi.

Ośmnaście lat liczył niespełna Józiek Górecki, kiedy mu się dostał przydomek mruka, i to miano pozostało mu już między ludźmi na resztę jego biednego życia.

Instynkt podszepnął mu, że do bytu jaki mu był najpożądańszym wypada koniecznie zastosować rodzaj pracy. Wyrabiał więc po ludziach, ale tak jakoś nieregularnie i dziwacznie, że się na niego patrzano potrochu jak na człowieka niestatecznego. Mówili ludzie, że był leniwy dawniej, a on właściwie był opornym tylko.

Dawna sprawność i dzielność fizyczna ożyły w nim teraz, tak że między tym ludem dorodnym, zdrowym i silnym, który niełatwo było zadziwić, Józiek-mruk budził podziw nietylko ilością wykonanej roboty, ale i nadzwyczajną śmiałością tam, gdzie o trudne i niebezpieczne zadania chodziło. Wylała naprzykład w wiosenne roztopy rzeka, zagrożony był most, który kra znosiła już kilka razy w ciągu lat dziesięciu, musiał się tam jak z pod ziemi zjawić Józiek-mruk, i nikt jak on nie umiał przeskakiwać z jednej płynącej bryły lodu na drugą, nikt z taką siłą nie przerąbywał wielkich płyt lodowych, z których każda zdolna była zdruzgotać most do szczętu.

Zawzięty, cieknący potem, a niezmordowany, zagrzewał się w miarę jak słabli inni, szedł gdzie było najniebezpieczniej, i tam gdzie nikt inny nie byłby poszedł z pewnością.

Przy kilku pożarach zaimponował także ludziom zuchwalstwem swojem.

Na wsi wogóle nie zalewa się pożarów, ale się rozrzuca jak najszybciej płonący budynek, bo tym tylko sposobem umiejscowić można klęskę najskuteczniej. Jeszcze nie zgorzało zupełnie poszycie a już na dachu zjawiał się Józiek; rąbał on krokwie, które się trzymały silniej, kopał nogami to co było zwęglone w połowie, niebaczny zupełnie na to, czy mu jaka żagiew płonąca głowy nie roztrzaska, albo żar i dym przytomności nie pozbawi.

— Okrutnie zawzięty chłop z tego Jóźka — mówili ludzie.

— Licho jego jednak wie, co on umie. Dyżto ci z Poręby opowiadali o nim takie rzeczy, że aż włosy na głowie wstawały, a jeszcze on pastuchem był wtedy.

— Może to i niedobrze przyjmować pomoc od takiego?

— Ba! co chcecie! w taką biedę kto patrzy zkąd pomoc przychodzi?—zresztą sam przyszedł, nic za to nie chce...

Istotnie sam przychodził i niepostrzeżony znikał zawsze, zanim mu za oddaną przysługę „Bóg zapłać" powiedziano. Coś go jak się pokazuje ciągnęło tam, gdzie było gorąco.

Do roboty nie byłby przyszedł Józiek za dzienne wynagrodzenie, choćby ono nie wiedzieć jak wysokiem być miało. Robił sam, na osobności, godził się ogółem, a że potrafił zrobić za trzech, więc nie dziwiło to nikogo, że robił przez dwa albo trzy dni w tygodniu tylko. Gdzie bywał przez te dni, w których go przy robocie nie widziano, nie umiałby nikt powiedzieć. Zamieszkał sobie u starego gajowego pod lasem i ztamtąd chadzał, gdy się latem kośba, grabarska robota, a zimą rąbanie sążni trafiło. W karczmie nie widywano go nigdy.

Wogóle najchętniej przebywał z tym starcem, który był jego gospodarzem, i zazwyczaj wieczory całe i święta przesiadywał zasłuchany w jego opowieści, których tamten miał zapasy nieprzebrane. Był to sobie bywalec, wyga, który dużo wędrował po różnych stronach świata, i w rozmaitych bywał terminach, a że Jóźkowi szczególnie gorzały oczy, gdy mu starzec te swoje odyssee, więcej lub mniej autentyczne, opowiadał, więc nie dziw, że i narrator nawzajem tego sobie słuchacza szczególniej upodobał. Wogóle dopasowali się jakoś i tak im płynęło życie.

Za dziewczętami wiejskiemi nie oglądał się Józiek prawie wcale, ale na przekorę obojętności jego, oglądały się one za nim nadzwyczajnie.

Pod tym względem jednym przynajmniej, najpierwotniejsze ustroje społeczne i najbardziej wyrafinowane cywilizacye niczem się od siebie nie różnią, a Józiek mimo tego, że był mrukiem osławionym, pomimo że był sierotą wywłaszczonym, o czem wiedzieli wszyscy, aż nadto miał jeszcze przewag osobistych, które mu te niepożądane przychylności jednały.

Była tam jedna... ale jedna, jedyna coprawda. Do tej ciągnęło go coś nieprzeparcie, ale cóż kiedy od niej daleko—bardzo daleko było do niego. Miał on sam wątpliwości wielkie, ażali warto było choćby próbować szczęścia, a tu mu tę wątpliwość stary gajowy jako jawną wyraźną niemożebność przedstawił, gdy go razu pewnego Józiek o to zagabnął.

— Maryśka Czerwińszczanka, powiadasz? Do biesa! — mruknął pod nosem, — to u ciebie widać nie ma rowu za szerokiego do przeskoczenia.

— Co się tak dziwujecie? Szlachcianka czy co?

— Szlachcianka, nie szlachcianka, ale ojcowistka i to na całą okolicę, a ty co? Ty sobie jesteś chłop otwarty do wszystkiego — ozłacając pigułkę, poprawiał się gajowy Mateusz,—ale co nie pasuje to nie pasuje.

— A żeby tak spróbować?

— Spróbuj.

— Ja mówię, żebyście wy spróbowali, tak sobie, ot kiedy—jak się zdarzy...

— Kiedy się to tak, widzisz nie robi. Staremu ja kum i krewniak nawet trochę jestem, ale nijako—powiadam ci, że nijako. Żeby tak okazya jaka, to nie mówię, ale tak... Nie, nie idzie!

Okazya trafiła się istotnie.

Był sianokos. Józiek najął się do skoszenia łąki wiejskiej, przyległej do łąki Czerwińskiego, a o tę łąkę spór zawzięty wlókł się od lat trzech. Kto przyszedł na plac wcześniej, ten zawsze zasiekł rów przeciwnikowi. Tym razem zaczepka wyszła od ojca Maryśki. Sąsiad dojrzał zdaleka, co się dzieje, i zanim zdążyli ludzie Czerwińskiego zgarnąć trawę na swoją stronę, już się zagotowało we wsi jak w ulu; po staremu adherenci jednej i drugiej strony rozebrali w mgnieniu oka płot żerdziowy, przylegający do łąki, i niebawem kołki dębowe rozlatywały się w drzazgi, odskakując od rozgrzanych w walce czerepów chłopskich.

Najzawzięciej wrzało koło Czerwińskiego. Tym razem przewaga siły była stanowcza po stronie jego przeciwników, i byłby się był ojciec pięknej Marysi doczekał może tym razem swojego rachunku, gdyby mu był najniespodziewaniej Józiek z pomocą nie był nadbiegł.

W parę minut jednych ogłuszył zemaszystemi cięciami jakiejś na prędce upatrzonej pałki: drugich pozrzucał z piersi Czerwińskiego, który bezsilny zupełnie przestał już stawiać oporu; reszta z podziwu samego opuściła ręce, i najniewątpliwsza porażka zamieniła się w zwycięztwo, o którem dziwy opowiadano na wsi—dziwy, które sławę Jóźka Góreckiego szeroko rozniosły.

W parę dni potem, obok Jóźka drącego dębinę w lesie, zjawił się gajowy Mateusz, i wyjmując z ust nieodstępną krótką fajeczkę przemówił:

— Spotkałem się ja wczoraj z Czerwińskim w mieście po nabożeństwie...

Józiek spuścił oczy ale nie zapytywał, bo mu jakoś dech zaparło w piersiach.

— No i zagadałem do niego... wiesz o czem przecie...

— Nie macie zapewne nic dobrego za pazuchą, to i nie gadajcie lepiej.

— Dobrego nic, ale i złego tak bardzo, także nic.

Józiek podniósł głowę spuszczoną ku ziemi, i zapytał niecierpliwie:

— No i co on mówi?

— Jużci przecie nie zawoła na ciebie, żebyś z wódką duchem przysyłał, ale dyabeł nie śpi! Czekaj!

— Ale cóż on powiada?

— Powiada: chłop bo chłop! Ze trzydzieści lat takiego nie widziałem, ale cóż...

— Niby co?

— Ano wiesz, powiada, żeby nie ten Jasiek Górecki—niby ojczym twój...

Siekiera Jóźkowa niespodzianie opadła na dęba i pogrążyła się w nim aż po toporzysko samo.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KRONIKA.

Nauka i Wykształcenie.

Wielki ale niekoniecznie dodatni wpływ na rozwój umysłowy naszego dziecka w ciągu ostatnich kilku dziesiątków lat, wywarło stosowanie metody Froebla. Zapanowała ona wszechwładnie prawie, rugując wszystko czem się posiłkowano dotąd.

Dużo było przytem podziwu dla naszego nieuctwa, które tak późno chwyciło się środka rozwoju z największem powodzeniem praktykowanego na zachodzie Europy; wysławiali na wyprzódki wszyscy powołani i niepowołani zdumiewające rezultaty, osiągane przez mistrzynie „froeblówkami" zwane, a co się tam już dostało epoce wstecznictwa, w której każdej matce marzyło się na własną rękę rozświecać w główinie maleństwa swojego—tego by na wołowej skórze nie spisał.

Podnosili w tym czasie (bardzo nieśmiało wprawdzie) różni ludzie głosy upominające, że rozwój pierwiastkowy należy bezwarunkowo do matki, że nikim nie powinna się ona w tem wyręczać, a najmniej już jakąś tam dziewczyną, której cały zasób uzdolnienia pedagogicznego mieści się w kilkunastu formułkach. Że w dalszym ciągu, tym czy innym systemem budzona do życia umysłowość dziecka, koniecznie powierzoną być musi osobie, która cośkolwiek więcej wiedzieć powinna, niż się z nauki o rzeczach w ciągu roku dowiedzieć można.

Wszystkie protesty podobne był to przez długi bardzo czas tylko tak zwany: groch na ścianę. Sumienie matek szczęśliwie rozgrzeszała stugębna reklama, produkowano tysiącami owe froeblówki, a żadna choćby najlepiej usposobiona młoda osoba nie budziła zaufania, jeśli nie mogła się wylegitymować świadectwem z ukończenia kursu wiadomości, w którym mieścić się miały wszystkie arkana pedagogiczne.

Naraz zaczynają się po pismach ukazywać listy, korespondencye i artykuły rozumowane, w których mówi się o nieudolności bon freblówek, o ujemnym wpływie na rozwój dziecka kobiet prostych, które nie tylko, że nie są w stanie wniknąć w ducha metody znakomitego pedagoga i zastosować jej do indywidualności dziecka, ale nawet zatrzymać w pamięci i wymówić poprawnie kilkunastu obowiązujących terminów. W następstwie przebąkuje się coś niecoś o pracy matki, o konieczności jej udziału i t. d., i t. d.

Kto ciekaw tego bębnienia do odwrotu, niechaj przeczyta artykuł „Anonyma" w „Przeglądzie Pedagogicznym" i p. Maryi Weryho w „Kuryerze Warszawskim."

Pouczające!

Zdrowie publiczne.

Przerwane na czas pewien dyżury nocne lekarzy w aptekach Karpińskiego i Jarnuszkiewicza, wznowione zostały w bieżącym miesiącu. Zwiększoną jest nawet podobno ilość dyżurujących lekarzy do 15.

Odczyty.

Na posiedzeniu sekcyi technicznej w Warszawskiem Muzeum, miał doktór Brunner odczyt o promieniach Roentgena i ich coraz szerszem zastosowaniu w sztuce lekarskiej. Treść wybornie objaśniły doświadczenia. Upomina się wiele pism o odczyt w tym przedmiocie dla szerszych kół publiczności, które naczytawszy się dosyć o wielkiem odkryciu naukowem, radeby zapewne teraz widzieć je poparte doświadczeniem.

W sali Muzeum wypowiedział we wtorek o godzinie 6 wieczorem pan Bronisław Znatowicz odczyt o węglu.

Treść stanowią: Wiadomości ogólne o węglu kamiennym. Działanie ciepła na ciało chemicznie złożone. Destylacya sucha. Gaz oświetlający—jak się otrzymuje. Własności najgłówniejsze. Użytek.

Przy odczycie posiłkował się prelegent tablicami, okazami węgla i doświadczeniami.

Wystawy.

Zamieniona na ogród zimowy wielka halla w Bagateli zgromadziła ilość pokaźną ciekawych Warszawian, którzy przybywali oglądać zapowiadaną od kilku tygodni wystawę chryzantemów, warzyw i owoców.

W dziale kwiatowym odznaczeni są:

Pp. Siedlecki (ogrodnik p. Zalewski), Koprowski, Fr. Szanior, J. Gebethner, K. Jurkiewicz, St. Sobalski, Fr. Bursiak i Hirszel, i pani Ewest.

W dziale warzyw:

Pp. Jałoszyński, Smosarski, Krajewski.

W dziale owoców:

Ogród Frascati (ogrodnik p. Siwecki), pp. G. Ulrich, bracia Hoser i Ed. Jankowski.

Po za konkursem pani Orsetti z Oporowa za winogrona.

W Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w dniu 29 bieżącego miesiąca wystawi tutejsza firma Neidlinger kolekcyą haftów artystycznych, wykonanych na oryginalnej maszynie Singera w Ameryce. Hafty te odbyły już podróż po kontynencie europejskim, po powrocie swoim z wystawy wszechświatowej w Chicago.

Wejście bezpłatne.

Jedwab morski.

Jest to rodzaj przędzy wytworzonej obficie w morzu Śródziemnem, przez gatunek mięczaka bezgłowego czyli małży (Pinna nobilis).

Mięczak ten, żyjący w cienkiej, trójściennej skorupie, osnuty jest bisiorem tworzącym gęsty splot nici, wydzielanych przez osobny gruczoł bisiorowy, znajdujący się w podstawie nogi zwierzęcia. Za pośrednictwem bisioru tego mięczak przytwierdza się silnie do skał, drzewa, albo innych przedmiotów, przy których małże spotykają się gromadnie, osnute wzajemnie tą przędzą swoją. Bisior stanowi substancyą tak wytrzymałą i sprężystą, że ją od muszli zaledwie siekierą oddzielić można. Poławiają się te małże głównie na brzegach Kalabryi i Sycylii. Włókna obmywają się najpierw roztworem mydła, suszą, a nakoniec poddane są czesaniu. Z kilograma materyału surowego otrzymuje się około 350 gramów przędzy jedwabnej o pięknym złotawym połysku, którą używa się na wyrób plecionek, rękawiczek, sakiewek — wogóle wyrobów od których żąda się pewnej trwałości. Skład chemiczny tego jedwabiu taki sam jak każdego innego z różnicą stosunku azotu, który w jedwabiu morskim mniejszy jest o 12 procent. (Wszechświat).

Wypadek na kolei żelaznej.

W nocy z 13 na 14 Listopada, na stacyi drogi żel. W. W. Ząbkowice, pociąg towarowy idący od Warszawy, najechał inny także towarowy, który oczekiwał odejścia. Parowóz i pięć wagonów ładownych rozbite zupełnie, 10 wagonów uszkodzonych. Nadkonduktor Fijałkowski kontuzyonowany.

Wskazówki i rady.

Rozbratel.

Kazać porąbać rzeźnikowi górną wołową czyli część kotletową na niewielkie plastry z żeberkiem o ile można, rozbić je bardzo cienko, nadać formę kotleta, posolić, wrzucić na rumiane masło, a obok położyć dużo krajanej nie siekanej cebuli białej, smażyć to na mocnym ogniu, a gdy się zrumieni po jednej stronie przewrócić na drugą, cebulę wymieszać żeby się nie spaliła i zaraz podawać, obsypując rozbratel po wierzchu suto cebulą.

Można rozbratle robić także z pierwszej krzyżowej.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Nowe książki

NADESŁANE REDAKCYI „TYGODNIKA,"

Nakładem firmy Gebethnera i Wolffa:

Plama (z pamiętników wynalazcy), przez W. Kosiakiewicza.

Zbiorek powiastek, opowiadań i t. d. dla dzieci, ułożyły S. Sempołowska i J. Unszlichtówna.

Nakładem firmy Teodora Paprockiego i S-ki.

Serce, powieść dla dorastającej młodzieży, przez Teresę Prażmowską.

Kalendarz na rok 1897.

Dziadowie i wnuki, powieść współczesna Maryi Milkuszyc.

Zeszyt XIV „Obraz literatury powszechnej" układu Piotra Chmielowskiego i Edwarda Grabowskiego.

Nakładem M. Arcta.

Encyklopedya illustrowana, zeszyt XII.

Odpowiedzi od redakcyi.

W-na Stefania J. w K. Dla młodej wdowy właściwa suknia adamaszkowa, morowa lub atłasowa koloru crême, stanik można przybrać crepe chiffon i koronką. Na głowę zamiast wianka z pomarańczowego kwiatu i mirtu i zamiast welonu, bierze się rodzaj ubranka z białych kwiatów i illuzyi upiętej fantazyjnie. Jeżeli ślub jest po Mszy św., w godzinach przedpołudniowych suknia może być jasna jedwabna, okrycie białe i kapelusz biały.

W-ny Jawor. stacya Łuczańsk. Zapisaliśmy prenumeratę na kwartał IV r. b. i I roku 1897, kwartał III r. b. wyczerpany zupełnie.

W-na Molin. st. Daszów. Prenumeratę sz. pani wnieśliśmy na kwartał bieżący IV i kwartał I-szy roku przyszłego. Wszystkim odmówić musimy kwartału III, którzy zgłaszają się zbyt późno. Wyczerpany jest aż do ostatniego egzemplarza.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami, arkusz z krojami i dla prenumeratorów na prowincyi prospekt „Rolnika i Hodowcy."

Дозволено Цензурою, Варшава 5 Ноября 1896 г. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**